

ISBN 978-83-272-4416-1



Miłość na sto śmierci
Jacek Stanisław Ostrowski

Miłość na sto śmierci.

Jacek Stanisław Ostrowski

SPIS TREŚCI

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Do Gochy I](#)

[Do rycerza I](#)

[Do Gochy II](#)

[Gocha do rycerza II](#)

[Do Gochy III](#)

[Do rycerza III](#)

[Do Gochy IV](#)

[Do rycerza IV](#)

[Do Gochy V](#)

[Do rycerza V](#)

Do Gochy VI

ISBN: 978-83-272-4416-1

Skład wersji elektronicznej:

[Virtualo Sp. z o.o.](#)

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow

Rozdział 1.

Teraz badam duchy. Najtrudniej było z nienawiścią, trzymała mnie ze trzy tygodnie. Pocieszałem się myślą o pomście. Jak prawie zawsze, oszustwo przeciwnika było doskonałe. Przy życiu trzymała mnie tylko myśl o tym, że się uświęcę, zacznę pościć. Stół w dużym pokoju przykryję obrusem. Mam taki przetykany srebrem, a na nim postawię menorę, zapalę świecę i będę jak Mojżesz. Ściągnę na Nią plagę z nieba! „Boże oszukanych, Boże udręczonych, Boże pomsty ukaż się!” Po trzech dniach postu było już lepiej. Nie chciałem już pomsty. Przyszło tylko uzalenie się.

„Magda coś ty mi zrobiła”. Na uzalenie się mam sposób. Wiem, że to tylko ego. Uśmiechnąłem się i w głowie powtarzam sobie „to nie istotne”. Puściło. Spojrzałem na obdrapane ściany, na zarwany tapczan, rozpadające się meble, wspomniałem córkę jak żegna się ze mną, odchodząc z matką, „jak żeś ty mi wyleciała jaskółeczko” i jeszcze widzę jak macha mi małą rączką na pożegnanie.

Do oczu napłynęły mi łzy, bo jej królik zawsze zdycha, a laptusia naszego jamniczka przejechał samochód. Załkało moje serce na myśl o jej zgubionej duszy i wiedziałem – to rozpacz. Uwolniłem się chwytem z duchowego judo, czyli w głowie: „Będzie dobrze.”, a srebrne dzwoneczki radości w mojej głowie zadzwoniły, bo to jej słowa. I było po rozpacz. Zadzwonił telefon, pomyślałem „może to mama, pewnie znów im odbija po niemieckiej telewizji”, głos w słuchawce – Pan egzorcysta? – i z mroku niepamięci wypłynęło wspomnienie jak tydzień temu dałem ogłoszenie.

A stało w nim tak: „Pomoc duchowa, numer telefonu”.

Zapisałem adres, powiedziałem: – Będę za godzinę-. Do teczki zapakowałem stalowy krzyż, biblię i pomyślałem „Gdyby oni wszyscy wiedzieli, że ja egzorcyzmuję głównie siebie...”. Trudne zajęcie i nie opłacalne. I znów jadę wadzić się z siłami mroku, „Nic to... Gocha, tak Cię kocham!”

A wszystko zaczęło się tak. Dziesięć lat temu dźwigałem szpulowy magnetofon z Błonia, gdzie mieszkałem, na Bartodzieje, do szkoły z internatem dla niedowidzących. Namówił mnie Artur nawijał: – Wiesz organizujemy dyskotekę –, pomyślałem my, to znaczy kto? – nadawał dalej – Będą fajne dziewczyny – to załatwia sprawę, gdy ma się szesnaście lat jak ja wtedy.

Dobrałem taśmy ze szczególnie wolnymi utworami, większość nadawała się tylko do tańca w parach. Tańczyło się wtedy przestępując z nogi na nogę blisko siebie, a myśl o przyciskanej dziewczynie o jej piersiach przytulonych do moich nadawała sprężystości moim krokom i nie ciążył magnetofon zaanektowany ojcu. Okazało się, że my oznaczało Oazę z parafii na Bartodziejach. Grupa młodzieży stała przed tą szkołą, gdzie na korytarzach są drewniane poręcze, a uczniowie chodzą wzdłuż nich, zawsze

po odpowiedniej stronie, by się nie zderzać, przy tym trenując wrażliwość palców kostką Braila. Większość z nich co najwyżej do końca życia będzie mogła robić pędzle w spółdzielni dla inwalidów, gdzie prezesem jest mgr. L. znajomy mojego ojca. Powiedziałem Oazowiczom „Cześć”. Na szczycie schodów stała najpiękniejsza dziewczyna jaką kiedykolwiek widziałem. Miała na sobie niebieską sukienkę, w tali na gumkę, a harmonia jej kształtów powalała na kolana. Więc stoję tak jak kołek i ledwie dociera do mnie że Artur nas przedstawia sobie – To jest właśnie Gosia, a to jest Jacek. Ona ma na szyi ma ciężki krzyż z samych ćwieków – Będę musiała zejść do Ciebie –, a ja mam w głowie srebrne dzwoneczki, jej nogi biodra, opaloną szyję, piersi i w zachwyceniu nie mogę wydukać nawet „Hej”. Podaje mi rękę – Więc to Ty..., razem wejdziemy na górę? –. Próbuję zebrać myśli i przez ten cholerny magnetofon zaskakując siebie mówię – mam tylko jedną taśmę a na niej Ti amo... – Wchodzimy do szkoły wtedy mówi – To może być trudne... – Podłączam magnetofon, podchodzi do mnie jeden z wychowanków pyta się czy wiem która godzina, oczywiście że wiem...

Lecz nim zdążyłem spojrzeć na zegarek wyciąga rękę odchyła szkiełko, palcami czyta wskazówki zegarka i dumny mówi – wpół do piątej – Uruchamiam magnetofon. Cieszę się, że tańczą odzywając się czasem, by nie wpadać na siebie. Powoli formują się pary. Zaczynam być nie zadowolony z tego, że są same wolne utwory. Spec od czytania zegarka już czwarty raz tańczy z Gosią, widzę, że próbuje przyciągnąć ją do siebie, a ona trzyma łokcie przed sobą, by nie być zbyt blisko niego. Zauważam, że jest przystojny i wyższy ode mnie. Budzi się w mnie zazdrość, w mojej głowie pytanie „Dlaczego tańczy z nim tyle razy?” Podchodzę kładę mu rękę na ramieniu – Odbijany – Na szczęście zmienia się utwór. Właśnie leci „Ti amo”. Mówię – Przecież to niewidzący – zmarszczyła czoło i tym głosem pełnym spokoju odpowiada mi niezrozumiale – „Może Ty widzisz mniej od niego... – Zastanawiam się nad Jej słowami i śpiewam to „ti amo”, a ona szepcze: – To może być bardzo trudne... – Myślę sobie: „Ma trochę pokręcone w głowie, wtedy ona odchyła łokcie kładzie głowę na moim ramieniu, przyciskam Jej ciało do siebie, nie opiera się i czuję jej cudowne piersi na swoich. Jej włosy bosko pachną brzoskwiniami i szepcze: – O to chodziło? – Myślę sobie, że zawsze chodzi właśnie o to i wtedy mówi:

- Nie mam źle w głowie. – trochę zaczynam panikować
- Ładna sukienka, niebieska – próbuję powiedzieć coś mądrego.

Gosia na to – Prawda... jak niebo –

Myślę tylko tym jak się z nią umówić spogląda mi w oczy i wtedy odkrywam że są zielone jak szmaragdy i w jej źrenicach takie oddalenie i bezkresy, iż w nich tonę, a jej usta szepczą – Przyjdź na „Oazę” –

- Jesteśmy umówieni.

Nadeszła środa. Kupiłem białe frefre. Pojechałem na Bartodzieje. Kościół był dopiero w budowie.

Czekała przed prowizoryczną kaplicą. Zapytała – Lubisz brzoskwinie?

– Jasne kto by nie lubił?

Dziś miała wąski paseczek w tali. Wzięła kwiaty powiedziała – Choć za mną...-

Nim weszliśmy do kaplicy zdążyłem zagapić się na Jej biodra, przez okno słońce przeświecało przez sukienkę, zakręciło mi się głowie bo nogi miała doskonale. I usłyszałem jak się roześmiała.

I w tej kaplicy Jej śmiech perliście wzbudził powietrze do drżenia, zabrzmiała gitara Artura, zawstydzona, że Gosi śmiech był piękniejszy niż wszystko co można zagrać na strunach.

W blasku świec była jeszcze piękniejsza. Śpiewaliśmy „Liczę na Ciebie Ojczy”, a ja na zawsze zapamiętałem jak modliła się prosząc – Daj nam mądrą miłość Panie-, a jej twarz rozjaśniona wewnętrznym blaskiem cudnie lśniła w mych oczach, oczarowanych jej powabem, a niebo było bliżej niż kiedykolwiek dotąd.

Potem spacerowaliśmy. Szliśmy brzegiem Brdy. Opowiadałem jej o żeglarstwie, ona mi o złym dżinie w lampie, który służy spełniając życzenia, w zamian pożerając duszę, a pod wierzbą której, witki tworzyły namiot, gdzie dzieci bawią się w dom, ująłem Jej ręce pocałowałem te zdumiewające oczy, wargami musnąłem jej usta, odpowiedziała odchylając głowę. Rozchyliły się jej wargi bez wprawy jak by całowała się po raz pierwszy, i drżała w moich objęciach.

Wtedy odkryłem że usta posmarowała błyszczkiem i smakowała brzoskwiniami...

Gwiazdy migotały na czarnym nieboskłonie, my zaś uniesieni stąpaliśmy się w jedno, i ciszej niż szemrząca woda powiedziała – Jesteś pierwszym, który mnie pocałował.

Rozdział 2.

Bydgoszcz leży nad dwiema rzekami. Zabrałem ją w niedzielę na zlewisko Brdy i Wisły.

Tam przy torze regatowym jest półwysep wcinający się w rzekę porośnięty łąką, gdzie chabry uginane wiatrem kwitną, jak jej powalająca piękność. Całowałem włosy, usta odwdzięczała się coraz śmielej przesunąłem rękę z barku na piersi, oparła mi dłonie na piersiach odepchnęła lekko i powiedziała – Uplotę wianek, – a po namyśle wyszeptala – kwiaty kwitną tak krótko...-

Był gorący wrzesień i było mi gorąco spojrzałem na nią gdy spłonila się cała zrozumiałem, że jest jej też gorąco. Zdjąłem koszulę, nie miałem się czego wstydzić dzięki karate i dwustu pompkom dziennie miałem niezłe uformowane mięśnie. Nazbierała chabrów usiadła w mych objęciach.

Rozpocząłem opowieść o pragnieniu wody, mej pasji do żaglówek: oceanie, wietrze, rejsie.

Zacząła się bawić moją ręką i powiedziała – to było niespodziewanie miłe – i położyła moją dłoń na swojej piersi i wyszeptala – nie przestawaj – tu westchnęła – opowiadać... – Bałem się spłoszyć chwilę pod palcami dłoni czułem jej piersi i nie mogąc zebrać myśli, zacząłem opowieść, a moje palce błądziły po napiętych brodawkach jej piersi i czułem jak opiera się o mnie coraz mocniej, coraz słabsza co raz bardziej moja. Słowa płynęły same.

Widzisz przychodziłem tu czasem, gdzie odległy brzeg koi oczy. Rzeka płynie od zawsze niezmienna, mocna, szepnęła – jak Bóg – Musiałem zebrać myśli. Powiedziałem jej o nieskończoności uniwersum, kosmosach niezbadanych i przestrzeni czasu. W czaso-przestrzeni mamy swoje małe okienko, które nazywamy terażniejszością. Nasze życie jak klatki filmu biegnące w jedną stronę. Zdajemy sobie sprawę z jego upływu i czasem próbujemy zapisać to nasze nam przemijanie. Próbujemy ocaleć, na fotografiach zapisać odchodzące chwile. Chcemy dokonać cudu. Powiedziała – Lubię gdy opowiadasz.. – spojrzała w niebo, przycisnęła me ręce do swego serca i wyszeptala – Nieśmiertelny... – Stropiła mnie. „Czy ona z tą Oazą nie przesadza?” Płeć miała jak mleko, cudnie wciętą talię. Położyłem rękę na jej biodrze i pomyślałem „muszę coś zrobić ze spodniami bo byłem napięty ze 20 minut i pomyślałem, że trochę głupio jeśli zobaczy.

– To ja może jednak uplotę ten wianek – powiedziała śmiejąc się oczami, uciekła z moich ramion.

Usiadła naprzeciw mnie, co było z jej strony okrutne, bo sukienka podwinięta na uda nie zasłaniała nóg aż do majtek a mnie serce waliło jak oszalałe, zaś na niebie

w miłosnych trelach skowronek wabił samiczkę umierając z miłości.

– Wiesz żagłówek jest tryumfem myśli. Wystarczy odpowiednio wybrać liny i może płynąć bez końca, tak daleko dopóki starczy wody. Zaczęło się to gdy miałem dwanaście lat. Przeczytałem samotny rejs „Opty” Leonida Teligi. Książka była o rejsie przez trzy oceany słonej fali i ten czwarty samotności, gdzieś pomiędzy niebem i wiatrem w oczy. I jeszcze to zdjęcie z Taumotu gdzie hawajska dziewczyna toples czaruje kształtami, a w jej włosach kwiat hibiskusa włożony za prawe ucho mówi o tym że jest wolna. Gośka zmarszczyła nosek. Mówiłem dalej – wiesz one miłośnie czarują i tańczą hula opowiadając historię miłości, na plażach z koralowego piasku, które ocean liże gnany pasatem, wypiętrzając się falą na lagunach, gdzie słońce zachodzi czerwienią jak krew.

Potem na tych plażach kochają się do świtu, przy dogasających ogniskach z kokosowych łupin.

– Czaruj zapytała? – zmarszczyła czoło widać było, że intensywnie myśli..

Poważnie powiedziała – Będiesz musiał wybrać – spanikowałem, między czym a kim? Znamy się tydzień, a o rejsie marzyłem od zawsze –. Równie poważnie powiedziałem – Zaborcza istoto, już mam patent i jacht... – Nie powiedziałem Jej, że tylko śródlądowy do tego stary, i że tata go fundnął. Powiedziała: – Masz patent i jacht... Ja też mam patent –

Po czym położyła palec na ustach, powtórzyła moje słowa – miłośnie czarują... – i ujęła moje dłonie splótła swoje palce z moimi i zaczęła cichutko szeptać w nieznanym języku usłyszałem tylko coś jak by – Hesua zetem – nagle ciężar spadł z moich ramion i byłem lekki szczęśliwy jak nigdy.

W oczach zatańczyła mi hawajska dziewczyna, jej ruchy pełne namiętności i seksu sprawiły że, pożądanie, które trwało już prawie od godziny wzbierało falą w mych lędźwiach sprawiło że mój członek wylazł w końcu nad pasek dżinsów. Gosia splonęła się cała, zamknęła oczy a ja nie mogłem puścić jej ręk, a w mych oczach wahina tańczyła hula, i zrozumiałem że pod podwiewaną krótką białą spódniczką nie ma nic. Widziałem ją coraz wyraźniej, na wyciągnięcie ręki. Każdy jej ruch był sugestywny naśladowający stosunek w co najmniej trzech pozycjach i wtedy wahina zdięła stanik, spódniczka zsunęła się z jej bioder i w oczach w zbliżeniu zamigotały mi jej piersi, biodra i to co dziewczyna może dać mężczyźnie. Czułem dotyk pieszczących mnie dłoni i jęknąłem z rozkoszy gdy wielokrotny wytrysk nasieniem zwilżył mi brzuch. Usłyszałem „Aloha” co ma przynajmniej sześć znaczeń od kocham do żegnaj – w zależności od akcentu.

Gosia oddychała szybko. Szepnęła – Ha Nocri...dziękuję-, zaś do mnie – a wianek... pozostanie na mojej głowie.

Poszedłem się umyć w Wiśle. Obmyłem twarz wodą i pomyślałem, „To była wizja – niesłychane, nieprawdopodobne...A dotyk i tak słodki? Przecież trzymałem Ją za

ręce...”. Postanowiłem, że wezmę ją za tydzień na jacht, bo mój „Nash” kołysał się na cumach ledwie kilometr od nas na torze regatowym, gdzie w wodzie żyją raki, a przedwieczorna cisza zasnuwa mgłą barki i wystrzyżone trawniki, zaś jaskółki śmigle szybują tuż nad wodą, nie wiedząc nawet o tym, że życie ich trwa krótką chwilę.

Odprowadziłem Gosię do domu. Zmierzchało gdy całowałem ją, na pożegnanie powiedziała

– Życzę Ci byś zadrżał wpatrzony w chrystusowe oczy, rozpięte na kopule weneckiej świątyni, byś żeglował po oceanie gładkim jak staw... – Przewertowałem w głowie znanych sobie poetów, już wiedziałem to był tygodnik literacki. Nie chwaliłem się jej, że średnio czytam dwie książki dziennie. Rzekłem – To piękne życzenia –. Musnęła me wargi i usłyszałem – to nie życzenia, to prekognicja – Odeszła, wchodziła na schody, patrzę na jej doskonale krągłe biodra, a w powietrzu rozchodzi się zapach hibiskusa. Słyszę jak śmieje się tym cud śmiechem, a ja mam znów spieczone wargi, bo w ciele rozpływa mi się wspomnienie chwil, gdy trzymała mnie za dłonie i uderzało mi do głowy jakże słodkie odurzenie.

Rozdział 3.

Minął tydzień. Byłem z nią na Oazie, już umiem ich trzy piosenki. W niedzielę zabrałem ją na jacht. Moja chluba i duma. Ciekawie rozglądała się po kabinie. Przygotowywałem szekle, a ona oglądała sosnowe szalowanie burt. Z radością przesunąłem rękoma po białym żelkocie.

– A to? – zapytała i wskazała na kambuz. Pokazałem jak się go rozkłada. – A jak się nazywają te śmieszne małe łóżka – powiedziałem jej, że to są koje, rozłożyłem dinetkę i powiedziałem „To jest koja dla dwojga” usłyszałem komentarz – Znaczy się rodzinna... – Ugotowaliśmy kawę, usiadłem na brzegu dinetki, znacząco poklepałem materac koło siebie, a ona mi na to – Teraz będę smakowała jak ryba i pachniała jak ryba – po czym zaczęła zadowolona zajadać się makrelą z puszki, zagryzając sucharkami. Wyszliśmy z kabiny, ledwie wiało 1 w skali Bouforta. Postawiliśmy żagle. Dotykała każdego fału, zapamiętując nazewnictwo lin. Uczyłem ją, która to burta nawietrzna, a która, zawietrzna pokazywałem zwrot przez sztag i achtersztag. Łapała w lot, a ja patrzyłem to na żagle, to na nią i nic już więcej do szczęścia nie było mi potrzebne. Miała na sobie kostium kąpielowy i kapok i nie wiedziała, że majtki wcisnęły się jej pomiędzy wargi sromowe, patrzyłem na tę kreseczkę zachwycony a w głowie jedno „muszę ją mieć” i ukrywałem wzwód zasłaniając ręką szorty udając, że jestem bardzo zajęty sterowaniem. Od pomostu naszego klubu odbił drugi „Nash” podpłynęli koledzy żeglarze krzyknęliśmy sobie – Ahoj – zapytali – Ścigamy się?-, zdjęciem czapeczki zasygnalizowałem, iż przyjmuję wyzwanie i zawołałem – Do ostatniej dalby, tam i z powrotem. – odkrzyknęli – Wygrywający tańczy z Twoją dziewczyną. – Pomyślałem „Tak się stać nie może.” zacisnąłem wargi, wybrałem ze trzy centymetry szota foka by zanęcić wiatr, który właśnie wtedy zdechł zupełnie. W prawie zupełnej flaucie płynęliśmy żółtym tempem, a łódź naszych przeciwników nieubłaganie wysuwała się przed nas o jakieś trzy długości. Spojrzałem na wodę potem na Gosię i pomyślałem o jej zaczarowanych dłoniach na ramionach kumpli żeglarzy i cichutko szepnąłem – Boże pomóż – Popatrzyła na mnie poważnie i powiedziała – Nie przyjmuje się wyzwania gdy nie zna się stawki. – Zacisnąłem zęby. Zapytała – Potrzebny prywatny wiatr? – zanurzyła dłoń za burtą, już jej chciałem powiedzieć, że to wbrew etyce żeglarskiej i zamilkłem bo na wodzie pojawiły się przed naszym dziobem zmarszczki i wpłynąłem uradowany w szkwalik, a moja kochana łajba zapluskiała radośnie nabierając coraz bardziej prędkości. Zostawiliśmy oponentów daleko za rufą, moje serce śpiewało. Wieczorem tańczyliśmy do szant na pomoście, pokazałem jej jak się tańczy matelota i jest najprostszy taniec jaki znam. Śmiała się do łez oglądając moje podskoki z przytupami i byliśmy po prostu szczęśliwi, a echo niesło słowa żeglarskiej

pieśni o miłości do morza tak silnej jak pożądanie.

Nadeszła zima, byliśmy nie rozłączni. Wracałem co dzień od niej pieszo na Błonie omijając uzbrojone patrole, a na każdej wylotówce z miasta stały opancerzone skoty. Żołnierze w służbie złej sprawy wywlekali ludzi z samochodów legitymując, w padającym i zmrożonym śniegu śpieszących jak zawsze: do pracy, na pogrzeb, do babci na głodowej rencie i nie zanosilo się na odwilż. Zналиśmy już większość kawiarni, w mlecznym barze piliśmy kefir, a na Oazie rozdawaliśmy mleko w proszku z darów i pomarańczowy serek Regana. Nosilem wtedy zamszową kurtkę, w kłapie wpięty opornik, znak oporu wobec komuny i na piersiach krzyż z samych ćwieków, który dostałem na oazie. Poszliśmy do muzeum. Wiedziałem, iż właśnie jest tam wystawa prac brata mojego dziadka, na razie nie pochwaliłem się że moja mama jest z domu Brzęczkowska i że ćwierć Koronowa stoi dziś na jego ziemi. Oglądaliśmy wujkowe grafiki, a ja zgadzałem się z nią, że ponure i nie mogłem jej powiedzieć, że dziadek mówił równie dobrze po polsku jak i niemiecku. Został w śniegu gdzieś pod Stalingradem służąc w wermachcie. Cóż by się działo w Koronowie gdzie postawili Brzęczkowskiemu kamień-pomnik jako artyście i pedagogowi. Grafiki wujka znałem dobrze, można powiedzieć że poznałem je organoleptycznie, bowiem już jako czteroletni brzdąc umiałem się wspiąć na szafę, do sekretarzyka po czym zjadałem pożółkłe kartony, na których czarny tusz wyczarowywał plenery świata, którego już nie ma.

Odwiedziliśmy też muzeum sztuki współczesnej, przy parku gdzie w centrum krasi się fontanna a w jej centrum tonąca rzeźba potopu, której już nie ma. Przy tym parku była moja szkoła elektryczna, której okna wychodziły na WRN to jest komunistyczny budynek pseudodemokratycznej władzy.

W muzeum oglądaliśmy pastele, postery Alfreda Muchy. Wszystkie boginie sztuki wkomponowane w rozety, symbole chwały. Byliśmy zachwyceni urzekającymi kolorami, bo świat był wtedy biało czarny lub co gorsza koloru khaki. Powiedziałem jej, że kiedyś był jeszcze gorszy bo był koloru feldgrün. Stanęliśmy pod plakatem Revere gdzie rozmarzona Dewa odpływa myślami od czytanej książki. Wtedy zapytała – Kim chcesz zostać? – powiedziałem, że chyba pisarzem, i że któregoś dnia kiedy już wrócę z rejsu napiszę książkę.

– O oceanie?

– O tych krajach gdzie jeszcze oddycha się będąc wolnym, o tych ludziach którzy wychodzą naprzeciw samotnego żeglarza niosąc kosze mango, papai i gdzie się je langusty pieczone w żarze.

– Musisz jak Teliga, dookoła świata?

Odpowiedziałem wierszem nieznanego poety

– Morze Twoim zwierciadłem, jego fala słona przyplýwa i odpływa jak myśl niestrudzona, toń moja od niego bardziej gorzka może...

Posmutniała

– Pisz o miłości. –

Nie powiedziałem jej następnej strofy, którą miałem w głowie tym razem z ostatniego i tragicznego rejsu Londona:

„i tylko jeden krok, plusk, bańka – wieczny mrok.”

Na ulicy potężniał głos manifestujących, skandowali:

– Solidarność! Solidarność!

– Chodźcie z nami! Chodźcie z Nami!

Ten głos zakryły policyjne syreny, patrzyliśmy przez okno jak sikawki rozpędzają demonstrantów, a zomowcy pałują w szale: kobiety, studentów, wykładowców i robotników. Jeździły ambulanse odwożąc rannych wprost na komisariaty i pełne budy to jest wojskowe samochody więźniary zabierają schwytanych na szybkie i nieprawe sądy „robotniczej, ludowej sprawiedliwości”.

Stanęliśmy pod ostatnim posterem Muchy. Rozeta była pusta a za nią mroczny i oszczerczy czaił się by zabijać w imię władzy. Francuski napis na plakacie głosił: „ZŁO NIE MA CHWAŁY”.

Rozdział 4.

Zima była sroga. Nachodziły święta, na Boże Narodzenie zaprosiła nas babcia.

W starym domu gdzie stiuki pod sufitem gdzieś cztery metry od podłogi pamiętały lepsze czasy, mimo pieców z holenderskich kafli zawsze było zimno. Pamiętam, że gdy miałem sześć lat babcia Stella co znaczy gwiazda zabrała mnie do kościoła. Naprawdę na imię miała Stefania. W kościele nudziłem się setnie, gdy obejrzałem już freski, policzyłem muchy zacząłem rozmyślać, co by tu wymyślić żeby nie było nudno. Ksiądz na ambonie czytał jakiś list pasterski, a ja wpadłem na pomysł jak by to było fajnie gdyby zachciało mu się właśnie teraz siusiu, mocno rzekłbym nie odparcie? Co by zrobił w tej sytuacji? Na ambonie stał wazon z kwiatami pomyślałem, że ostatecznie mógłby nasiusiać do tego wazonu. Babcia dała mi dwa złote, wrzuciłem do koszyka, kościelny potrząsnął nim nie zadowolony i poszedł gasić świece gasikiem na drążku, a organy grały „Pod Twą obronę Ojczy na niebie...”. Zaproszeniem nas obojga na wigilię Stella dała sygnał, że rodzina nasz związek zaczyna traktować poważnie. Miałem siedemnaści lat a Gosia rok mniej.

Pokoje były olbrzymie, w sypialnym szafy z giętego buka w stylu fine de sicle sąsiadowały z łóżem pod baldachimem i z oknem wychodzącym na ogród, który rozparcelowali komuniści, zabierając przy okazji pół domu na mieszkania dla partyjnych kolegów w ramach sprawiedliwości społecznej.

Salon w ciężkim i ciemnym dębie kredensu gdzie nad zegarem wlatywał rzeźbiony orzeł, rozświetlał kandelabr wieloświecowy. Zasiadliśmy do stołu przykrytego ręcznie heklowanym olbrzymim obrusem, skrzyły się kryształ. Ojciec mój zapytał mnie co chcę w życiu robić. Powiedziałem że muszę znać angielski by płynąć, a równocześnie przyda się gdybym chciał się zająć elektroniką. Zjedliśmy sześć dań, srebra powędrowały do mycia i przy „kuchy” czyli cięcie babcia usiadła do pianina. Zaśpiewaliśmy „stille nacht”, Gosia usiadła do pianina, nawet nie wiedziałem, że umie grać i cicho spokojnie jak nie potrafił nikt z nas zaśpiewała „Cudowną miłość” i ponad pianinem patrzyła mi w oczy. W stołowym zrobiło, się nagle cieplej. Ojciec powiedział:

– Przecież to nie jest kolęda – zrobiło się niezręcznie cicho.

Mama przerwała ciszę – Gośka masz śliczną białą bluzeczkę... –

Spojrzała na złoty haft na piersi „EL Ruah” i zapytała – Sama wyhaftowałaś?-

Gośka skinęła głową.

Ojciec – Synu pamiętaj, że kobieta z którą idziesz do łóżka może być matką Twoich dzieci.-

Ja – My nie... – Gośka uciekła do kuchni i wszyscy się roześmieli.

Nadeszła wiosna. Zawsze kupowałem jej frezje. Wróciła przejęta z Chełmna, gdzie była z Oazą.

Zabrałem ją na lotnisko do aeroklubu. Była jakaś milcząca. Próbowałem rozproszyć jej smutek, opowiadałem jej o lataniu, pragnieniu bycia wolnym jak ptak.

Aeroklubowy portier, który znał mnie z widzenia wpuścił nas bez pytania.

Opowiadałem jej o A1 modelach z balsy, które bezgłośnie wyholowane na holu jeśli tylko znajdą bąbel wznoszącego się ciepłego powietrza szybują ku słońcu, i że w lataniu jest nieodparte piękno.

Zapytała – Latałeś?-

– Trochę.

– Nie wyszło?

– Odrzucili na wzrok.

– Będziesz latał wysoko.

– Co się stało w Chełmnie?

– To był sierociniec szpital. Prowadzony przez zakonnice. Dla dzieci kalekich. Widziałam dzieci bez rączek, bez nóżek, i autyczne, zamknięte w świecie swojego umysłu. Oszałałe zamknięte w łóżeczkach klatkach, nagie żebrające o jeden dotyk, głodne. Chciała bym pomóc ale nie wiem jak.

Zostawiłam bransoletkę i kolczyki więcej nie miałam ...

Zamilkłem, przytłoczył mnie jej smutek i wtedy zrozumiałem, że jest dobra i inna niż wszystkie.

Udaliśmy się na start szybowcowy. Od razu zdobyła pilotów. Patrzyłem jak miękną niczym wosk, patrzą za nią czekając na jej słowa. Zapiąłem jej spadochron, instruktor Gołata zabrał ją do dwó-miejscowego bociana. Fajny szybowiec choć nie najnowszej konstrukcji. Wyholował ich Gawron górnopłat pamiętający jeszcze lata pięćdziesiąte. Termika była niezła, wspinali się pod wypiętrzone cumulusy i śmiałem się jak dziecko, widząc jak nieporadne zakręty z przepadaniem na skrzydło wykonuje bocian i równie śmieszne wyslizgi, bo widziałem że dał jej Tadziu drążek do potrzymania. Wylądowali po 20 minutach. Wypiąłem ją z pasów.

– Jak było?-

– Wiesz kiedy jest się wysoko, wszystkie życiowe problemy wydają się takie nieważne...-

Powiedziała rozpinając uprząż spadaka.

I naszedł czerwiec. Przytuleni chodziliśmy Alejami. W witrynie sklepu na kolorowym plakacie modelka kusila ciałem reklamując koronkową bieliznę. Powiedziałem – Choć zobaczymy ciuchy –

zaglądała przez szybę, a ja zadowolony z fortelu dyskretnie cieszyłem me męskie oczy plakatem.

Rodzice mieli działkę nad zalewem koronowskim, a na niej malutki drewniany

domek wśród truskawek. Pojechaliśmy autobusem. Trzy kilometry piechotą od Koronowa. I już byliśmy nad wodą gdzie ciągnął mnie zew żeglowania, które było dla mnie kwintesencja wolności i swobody.

Zagospodarowaliśmy się w domku. W kuchence rozłożyliśmy zapasy. Spojrzałem na puszkę z makrelą i pomyślałem „Nie, tym razem nie...” i upchnąłem ją w najgłębszej szufladzie. Mieliśmy zostać tam na noc. Zajadaliśmy się truskawkami, łowiliśmy bystre okonki. Wieczorem poszliśmy na ognisko, które zwykle rówieśnicy organizowali na brzegu. Opowiadałem o Bernardzie Motisierze, który wygrał regaty non stop dookoła świata i zrezygnował z wysokiej nagrody, by przepłynąć jeszcze pół globu na Hawaje. Dla niego cywilizacja była obłędem, w którym kopalnie kopały węgiel dla hut, huty produkowały stal dla kopalni i kolei, która wozila ten węgiel i koks znowuż do hut.

Gosia:

– To chyba gaja.

– Co to jest gaja?

– Bardzo dawne wierzenie.

– Pamiętasz jak trzymałem twoje dłonie nad Wisłą, a naga wahina tańczyła w mych oczach doprowadzając mnie do rozkosznego końca. Jak to zrobiłaś?

– Ja się tylko modłę.

– Wszyscy się modlą, a przecież nie mają takiej mocy.

– Modłę się o Ciebie cztery godziny codziennie.

– Wciąż chcesz płynąć dookoła? Spójrz w moje oczy...

Zajrzałem, a był w nich bezkresny ocean, wzburzony i straszny gdzie fale wielkości domów z rykiem toczyły dziką pianę – nieokiełzwalne...

Powiedziała:

– Morze nie jest po kolana.

Musiałem to przemyśleć.

Ognisko przygasło. Zabrzmiała gitara i cierpliwie przyjaciel z działek śpiewał

– Byśmy mieli dzieci, byśmy mieli swój dom, dom szczęśliwy na wzgórzu, stał by on...

Leżałem z głową na jej kolanach, pieściła mą twarz palcami a gwiazdy migotały nad nami i liczyłem sputniki leniwie sunące jak ruchome gwiazdy w naszej malutkiej czasoprzestrzeni ludzkiego istnienia.

Wróciliśmy do domku. Było tam tylko jedno rozkładane łóżko.

Umyła zęby, przysła w rozpiętej bluzeczce. Popatrzyła jak ścielę łóżko i powiedziała:

– Mam coś dla Ciebie. – Sama zdjęła bluzeczkę i spodnie i stanęła przede mną w koronkowej bieliźnie z plakatu, który oglądałem sądząc, że tego nie widzi. Bielizna była prawie przezroczysta. Różowe sutki jej kształtnych piersi prześwitywały przez stanik, opalony brzuch płynnie przechodził w doskonałe łono a jej różowa płeć

prześwitywała przez koronki majtek sprawiając, że miałem lekki zawrót głowy, nie mówiąc już o spodniach które rozpierała moja męskość. Potem z plecaka wyciągnęła w czarną skórę oprawioną biblię. Powiedziała: – To prezent i ściągnęła stanik.

- Nie musisz płynąć, możesz głosić Słowo.
- Chyba nie jestem na to jeszcze gotowy.
- Będzie dobrze.

Wziąłem biblię. Ściągnęła majtki. Szepnęła:

- To cenny dar.

Zmiękły mi nogi. Wziąłem Ją w objęcia, całowałem namiętnie, jej pyszne piersi pełgały jak jangrafu, całowałem jej brzuch pępek i niżej. Wtuliłem twarz w jej łonowe włosy. A jej wargi sromowe były cudnie rozchylone i różowe. Całowałem i pieściłem, a jej piersi nabiegły krwią.

Położyłem się na niej rozchyliłem jej nogi i wtedy miękko powiedziała:

- Chyba nie jestem na to jeszcze gotowa.
- Nie wezmę niczego czego nie chciała byś mi dać sama.

Pieściliśmy się do rana wielokrotnie szczytując. Nad ranem zapytała:

- Nie jesteś zły?
- Nie, kocham Ciebie.

Zanuciła:

– „Kochać, jak to łatwo powiedzieć, kochać i nie pytać o nic, bo miłość jest niepokojem nie zna dnia który, da się powtórzyć...”

- Przeczytasz biblię?
- Tak.
- To mam jeszcze coś dla Ciebie.

Naga zaczęła się modlić koło okna. Płoczyła ręce na mych piersiach a jej rąk spływała mirra, którą wcierała w moje ciało i pachniała ambrawą. Zdumiony patrzyłem na wschodzące słońce i jej nagość, a Jej szepty w nieznanym mi języku docierały do mych uszu zewsząd jak echo. Poprosiłem:

- Przetłumacz –
- Ha nocri znaczy: Bóg chrześcijan.
- El Ruah?
- Duch Święty. Kiedyś będziesz moim rycerzem, już na zawsze.

Rozdział 5.

Minął rok. Kasztany pyszniły się kwiatostanem, żar naszych pocałunków nie słabnął, a za moim oknem czyżyki wily gniazdo. Przygotowywała się do matury, a ja wypisałem z biblii wszystkie wersety dotyczące łodzi i morza. Reszta była niestrawna, była to najcięższa książka jaką czytałem. Zrozumiałem dlaczego chodziła do szkoły medycznej, chciała pomagać ludziom. Maturę zdała celująco i na czepku miała dwa paski co znaczyło, że została dyplomowaną pielęgniarką. Uczyła mnie tańczyć: walca angielskiego, wiedeńskiego, tango, rumbę.

Zrozumiałem, że robiła to dlatego iż wcześniej umiałem tylko żeglarskiego matelota.

Ja próbowałem uczyć ją podstaw elektroniki. Zapytała

– Dlaczego elektronika?

– Bo radiostacja jest jedynym środkiem łączności na oceanie.

Z Oazą poszliśmy na pielgrzymkę do Częstochowy. Kilometry dreptane wśród modlitw.

Gosia modliła się cicho i głęboko. Dziękując, wielbiąc, chwając, prosząc.

Ja umiałem tylko „Ojciec nasz”, a ksiądz klepał przez megafony różańce tak nudne, że Artur nie miał siły potem nawet zagrać na gitarze. Próbowałem nauczyć się modlić tak jak ona, lecz każda jej modlitwa była inna i mądra.

– Zapytałem jak to robisz?

Odpowiedziała mi językiem elektroniki, że to proces skokowy 0 i 1, najpierw, długo, długo nic, a potem przeskakuje się wysoko zawieszoną poprzeczkę jak w skoku o tyczce i można pokazać wtedy wała złemu, jak Kozakiewicz Rosjanom.

– Wała? – Takie słowo w jej ustach rozśmieszyło mnie to do łez.

– Pij i tylko nie zbłądź – podała mi blaszany kubek wody.

Niebo zasnuły chmury. Zanosilo się na deszcz. Na pielgrzymce nie ma noclegów koedukacyjnych.

Dziewczyny spały w jakiejś przygodnej stodole, wraz z nimi Gosieńka. Reszta dziewczyn tak jak my w namiotach. Lało jak z cebra. Podmyło nasz namiot, dlatego wraz z Arturem poszliśmy spać do najbliższego namiotu dziewczyn. Leje. Zasnął Artur, zasnęła koleżanka Asi. Mam oczy otwarte deszcz stuka o tent namiotu Asia też ma oczy otwarte, widziałem ją wcześniej, jest bardzo seksowna. Piersi chyba ze trójki, i zmysłowe usta. Na pielgrzymce nie śpi się w piżamach.

Śpi się w T – koszulkach. Ręce wyciągają mi się same kładę je na Asi piersiach. A w głowie nagle słyszę „GŁUPCZE!”, cofam ręce przerażony. Na Asi koszulce teraz odczytuję napis „Życie jest ja dżungla, w której zbłądzić łatwo”. Asia ściąga koszulkę. Jestem zdrętwiały.

Patrzy na mnie i zła szepcze:

– Sam nie wiesz czego chcesz!

Odwróciła się zła i ubrała z powrotem koszulkę.

Nie zdałem mojej matury z dojrzałości. Leżałem do rana z otwartymi oczami i umyśle miałem tylko to jedno „Głupcze!”.

Wyruszyliśmy o poranku. Gosia nie chciała ze mną rozmawiać. Pomyślałem „Zemsta Achy”.

Gdzieś koło dziesiątej Gosia padła na mokrą po nocnym deszczu trawę. Trzyma się za serce.

Lekarz obsłuchuje ją stetoskopem maca brzuch mówi, że to nie wygląda na udar serca.

Gosia właśnie ma okres, więc to chyba nic poważnego. Mija mi panika. Gosia blada mówi, że już jej przeszło i może iść dalej. Więc niosę ją na ramionach w nadziei, że właśnie tak zmażę swoją winę i pocieszam się że wszystko będzie dobrze. Pozbierała się po pół godzinie, ale już nie szła ze mną...

Dochodzimy do Częstochowy. Jest pod nią na trasie pielgrzymki tak zwana przeprośna górka.

Gosia nadal nie rozmawia ze mną. Całą Oazą wchodzimy na kolanach na tę górkę klepiąc Ojczenasze, każdy z nas w jakiejś intencji. Ja proszę o dobrą żonę.

W sanktuarium oglądam modele spitfierów wspomnienie lat gdy mroki wojny spowijały ziemię.

Wracamy do Bydgoszczy. Jest już sierpień. Zostało nam coraz mniej czasu. Na październik mam już w kieszeni bilet do wojska. Jak zawsze przynoszę jej frezje. Jest bardzo małomówna.

Jedziemy na działkę. W domku próbuję ją całować ale jej usta są zimne i jej ciało mówi mi nie.

Zabieram ją na daleki spacer brzegiem zalewu. Po drodze zbieram dzikie konwalie, zbieram całe naręcza. W dawnym korycie Brdy jest łąka a na niej rośnie rozłożysta lipa.

Rzucam jej do stóp konwalie klękam i mówię:

– Przebacz wszak, Chrystus przebaczał.

Rozpłakała się. Całuję Jej dłonie, stopy, serce i oczy uśmiecha się i odwzajemnia me pocałunki.

Teraz i ja płaczę i tak mieszają się nasze łzy i pieszczoty a po niebie latają szybowce, na zalewie wiatr chyli żaglówki i znów słońce świeci tylko dla nas.

Rozbieram ją i jestem nieporadny.

Na majtkach ma wyhaftowane „Tylko dla Jacka”.

Myślę sobie teraz się stanie, będzie zawsze moja. Pieszczoty uderzają nam do głowy jak czerwone wino. Leżymy wśród czeremchy, odurzająco pachnie rumianek.

Gosia oplata mnie nogami.

Moja męskość napiera na jej dziewiczą błonę i wtedy ona mówi:

– Pójdiesz za mną?

– Dokąd Gosieńko? Płynimy razem na morza dalekie!

– Nie zrozumiałeś, MUSISZ MNIE KOCHAĆ NA STO ŚMIERCI!

Teraz jeszcze nie umiesz.

Odepchnęła mnie lekko, i zapłakała skarżąc się

– Dolo moja, dolo...

– Nie chcesz mnie? – Zapytałem.

– Problem w tym, że wręcz przeciwnie. – Co powiedziała odpychając mnie i ubierając majtki.

Zrobiłem się zły. „Któż zrozumie kobietę?” Pocieszyłem się zdaniem z „Pana Wołodyjowskiego”

– „Nic to...” – Usłyszała. Odpowiedziała też zdaniem z Sinkiewicza:

– „Mój ci on jest!” – i zarzuciła mi swój sweterek na szyję jak Jagienka Zbyszkowi z Bogdańca, chustkę. I odpłynęła od mnie złość i gniew, a w powietrzu rozszedł się zapach ambry i w głowie radośnie dzwoniły mi dzwoneczki jej anioła.

Rozdział 6.

Wygrzebałem z piwnicy książkę Brzęczkowskiego, z czasów gdy jeszcze studiował sztuki piękne w Berlinie. Pełna rycin, aranżacji wewnątrz domów bogatych. Rodzicom służyła jako podstawka pod choinkę. Zaniósłem do antykwariatu, zainkasowałem za nią 500 zł. Poszedłem do pracy jako elektryk. Nie wiedziałem że elektryk kopie rowy. Opowieść przy łopacie.

Myślałem że jestem wysportowany, ale nie wiedziałem że łopata więźnie w mokrej glinie wraz z myślami, że człowiek od łopaty wcale nie staje się prosty, a tylko udęczony.

Kopał ze mną Andrzej miał ze 25 lat i był inżynierem informatykiem. Pracował w zakładzie technik obliczeniowych i był tam najlepszy. Wraz z kolegą dostał tajne zadanie napisania wirusa, który by sam ewoluował. Zadanie było ambitne. Informatycy wtedy już wiedzieli, że można wykryć programem antywirusowym kod każdego wirusa. Dlatego skupili się na kodzie, który by się losowo zmieniał, zaś środowisko komputerów IBM miało być selektorem przeżycia najlepiej przystosowanych wirusów. Tłumaczył mi jak szybko generator losowy zmieniał poszczególne bajty wirusów tak jak kodony w genomie prawdziwego wirusa. Cieszył się, że rozumiem assembler i wiem jak to działało. W godzinę powstawały dziesiątki tysięcy zmutowanych wirusów. Zmutowane traciły zdolność do samoreplikacji lub były kodem, który w ogóle nie przeżył w środowisku systemu mimo, że nie były atakowane przez program antywirusowy. Napisali ich kilka wersji zbadali miliony mutacji. Bezskutecznie. Napisał więc raport do zleceniodawcy z wnioskiem z dogłębnych badań, że tak zwana ewolucja jest bzdurą. Jego zespół zrozumiał, że wszystkie mutacje są szkodliwe. Dostał pisemną odpowiedź, że jego prace badawcze i wnioski nie są po linii komunistycznej partii. Następnie zwolniono z pracy cały ich zespół z wilczym biletem. Mógł się tylko zatrudnić do kopania rowów i to po najniższej stawce.

Za zarobione pieniądze i te za książkę kupiłem pierścionek, ze szmaragdem jak jej oczy, w których ujrzeć można i niebo i ocean. Kupiłem też garnitur. Umówiłem się z nią telefonicznie w parku przy fontannie. Ubrałem białą koszulę, ojciec zawiązał mi krawat, mama się rozplakała i pojechałem z największym bukietem frezji jaki można było ustroić.

Zobaczyła mnie w garniturze powiedziała:

– To będzie poważna sprawa, nim zaczniesz przypomnę Ci:

Pamiętasz „ti amo”? Znaczy kocham?

Powiedziałam wtedy – To może być bardzo trudne.

Pamiętasz dyskotekę dla nie widomych? Ty nadal nie widzisz.

Klęknąłem u jej stóp rozsypałem frezje. Podałem jej pierścionek z szmaragdem.

– Małgorzato Czy zostaniesz moja żoną?

Odpowiedziała wierszem: –

„Wszystko się kiedyś spełni w swoim niespełnieniu, tak jak obecność w pustym miejscu obok i nie zostanie kamień na kamieniu pod ślepym nowiem odwróconej pełni”

– Gosia mam dom i zawód.

Pobierzemy się, jedyne go żywiciela rodziny odroczą z wojska, Gosia kocham Cię!

Zapłakała i powiedziała

– To tylko erotyczna fascynacja.

– Więc jak, decyduj.

– Musi się zmienić Twoje serce.

– Może za parę lat.

– Więc to była tylko gra?

– Teraz idziesz do wojska.

– Zaczekasz? – Zapytałem a wtedy oddała mi pierścionek.

– Bawiłaś się tylko mną!

Wstałem gwałtownie z kolan, spłoszone gołębice odfrunęły sprzed fontanny, w którą cisnąłem pierścionek. Wtedy się przeżegnała i powiedziała

– Chryste! –, a moje serce pękło na zawsze.

I biegłem próbując uciec rozpaczy, a moje włosy siwiały z każdą minutą i zapragnąłem śmierci bardziej niż czegokolwiek innego. Poszedłem na brzeg autostrady na jej spotkanie. Wybrałem ciężarówkę, pomyślałem „Kierowca nie może się zorientować” dlatego nabrałem rozpędu rzuciłem się na maskę tira, a ten szybciej niż się spodziewałem zakreślił mijając mnie o włos. Przeturlałem się po asfalcie trąbiły klaksony a ja z pustym sercem odszedłem, w życie nie wierząc już w żadną ludzką i Bożą miłość, to było spotkanie ze śmiercią numer 1.

Rozdział 7.

Potem było wojsko. Przysięgę na rzecz ludowego państwa przemilczałem i odmówiłem przyjęcia broni. Wezwano mnie wraz z kapralem do dowódcy, któremu ten tłumaczył po rozmowach ze mną, iż naczytałem się Remarka innych pacyfistów i powiedziałem, że nie będę strzelał do tarczy, na której jest wyrysowany człowiek. Następnie były rozmowy ze służbą wewnętrzną, gdzie uprzejmi oficerowie po cywilnemu wyjaśnili mi jak wygląda wojskowe więzienie i wytłumaczyli jakie kłopoty mogą mieć moi rodzice, którymi socjalistyczne państwo tak łaskawie się opiekuje.

Doszedłem do wniosku że długo tam nie pozostanę i wzięłem broń ku chwale ojczyzny.

Rodzice wyjechali z Polski.

Kompania w której służyłem była remontowo-budowlana, gdzie zgarnięci chłopcy za darmo przez dwa lata, nie robiąc nic innego, budowali domy komunistycznej kadry, oczywiście celem wzmocnienia obronności ojczyzny. Jako jedyny nie musiałem być ani dnia na budowie. Znalaziono w mojej szafce Gońską biblię, dlatego dowódca uznał, że nadają się tylko do pracy w sztabie, gdzie pełniłem funkcje pisarza. Co polegało na siedzeniu w pustym sekretariacie i nie robieniu absolutnie niczego. Wydostałem się z wojska po pół roku symulując schizofrenię, ale robiłem to widocznie nie za dobrze (mimo, że przeczytałem stosowną w temacie literaturę, która uprzejmie wypożyczyła mi wojskowa biblioteka mojej jednostki) i wyszedłem do cywila z wpisem medycznym „osobowość schizofreniczna”.

Minęły dwa lata. Właśnie rekrutowałem pracowników w swojej firmie, szukałem elektronika ze znajomością zagadnień projektów urządzeń wysokiej częstotliwości. Darek wspólnik wpuścił następnego. Oglądał z zazdrością komputery, oscyloskopy, częstotłowościomierze. Niestety nie kwalifikował się. Gdy już to sobie wyjaśniliśmy, w nie oficjalnej części rozmowy zadał pytanie – Jak się dochodzi do takiej firmy? – Opowiedziałem jak wspólnik przyjął zlecenie na malutki nadajnik i po wydaniu na częstotłowościomierz i podzespoły tysiąc dolarów przyszedł do mnie bo nie był w stanie go uruchomić. Rzuciłem wtedy pracę konstruktora w zakładach urządzeń jądrowych „Polon” i w moim garażu wyprodukowaliśmy pierwszy działający model. Zleciodawcą był znajomy Darka, ksiądz Tadeusz Dziegiel-Wołynowicz. Ach cóż to była za postać! Wydawca, drukarz literatury podziemnej i biblii, do tego dziwak i oryginał. Człowiek wielkiego i nie pokornego serca. Nie opowiedziałem kandydatowi, o pracy ponad siły od 10 rano do świtu dnia następnego, bez doświadczenia, możliwości zaopatrzenia, przyrządów, licząc konstrukcje tak by działały na podzespołach, które zdołaliśmy zdobyć. W końcu dla Tadeusza

produkowaliśmy nadajniki, które ja obliczałem. Darek projektował obwody drukowane, a kochany Pan Brunon spinał to mechanicznie w całość, konstruując obudowy nadajników i radiolinii.

Jak w zwykłe w sprawach kontaktów z klientami, pojechałem do Pawłówka gdzie mieściła się podziemna drukarnia Ks. Tadeusza nazywana przez niego Dziegłówką a przez nas kociarnią.

Ksiądz właśnie własnoręcznie remontował swojego bardzo starego mercedesa którego nazywał „King of roads”. Koty łaziły wszędzie było ich chyba ze sto, a między nimi trójnogi kundelek. Udało nam się uruchomić piątą z rzędu rozgłośnie kurialną, z 50 metrowym masztem, też naszej konstrukcji. I teraz właśnie finansowo finalizowaliśmy tę sprawę. Firma miała perspektywy. Ks. Tadeusz budował właśnie w Bieszczadach chatkę schronisko, dla uciekinierów z wojska.

Wyszedł na chwilę siusiu by jak to mówił „Połączyć się złotą strugą z matką ziemią”.

Wrócił i oznajmił – opowiem Ci jak kiedyś głosiłem kazanie.

Usiadłem w fotelu. Kazanie było o wojnie i przykazaniu nie zabijaj. Opowiadał jak to nim został duchownym, nosił z bratem amunicję Akowcom a był zbyt młody by pójść do lasu czyli zostać partyzantem.

– Głosiłem to kazanie w wyższej szkole oficerskiej, dali mi tą szablę, lepiej żeby dali grabie.

W katedrze była strojna ambona. Głoszę natchniony próbując w ich serca wlać miłość do wroga.

Tłumacząc, że i Niemcy są ludzie i chce mi się coraz bardziej siusiu, rzekł bym nieodparcie.

Zastrzygłem uszami.

– Balustrada ambony zasłaniała mnie prawie do piersi i nie mogąc przerwać kazania w połowie zdjąłem z niej wazon, wyciągnąłem kwiaty i choć to nie było proste rozpiąłem sutannę i połączyłem się złotą strugą z wnętrzem wazonu...

W ramach rozliczeń podarował mi wtedy komplet sztucców z 24 karatowego złota, które otrzymał od Prezydenta Wałęsy. Poklepał mnie wtedy po plecach i poszedł karmić pszczoły syropem owocowym jak ja gdy miałem sześć lat.

Mówią czas leczy rany, ale tak nie było. Poznałem dziewczynę miała na imię Magda.

Zgrabna i nie głupia. Pozory mogą mylić. Miałem dom, ona posag i ustaliliśmy, że zamienimy go w jacht i popłyniemy jak Teliga i Motisier na wyspy dalekie. By cieszyć się ludźmi którzy chcą słuchać o przebytych oceanicznych bezdrożach. Kupiliśmy „Narwala”, nieskończony jacht nadający się na morze i ustaliliśmy datę ślubu. Dla niej i dla mnie było to małżeństwo z rozsądku. Lecz me wnętrze było zimne jak lód bo me serce zabrała mi Gosia. Ubrałem zamszową kurtkę, którą tak lubiła, kupiłem białe frezje i poszedłem ostatni raz ją zobaczyć, a w mej głowie nie wielka nadzieja, że

może zmieniło się jej serce. Wędrowałem na Bartodzieje i wspominałem wspólnie spędzone chwile i już pogodzony z tym, że mnie odrzuciła bowiem wiatr pieścił mą twarz i łudził mnie los rejsem. Chciałem jej powiedzieć: „Szkoda że w mnie nie wierzyłaś, jednak popłynę...”

Otworzyła mi Jej siostra Lucyna. W szedłem do mieszkania Gosi, ucieszyłem się, że tak nie wiele się zmieniło. Pytam gdzie Gosieńka, wyszła za mąż? Lucyna patrzy na frezje i mówi:

– GOSIA NIE ŻYJE –

– Zostawiła Ci list napisany w szpitalu.

Otworzyłem list, na podłogę wysypały się ususzone płatki frezji które Jej przynosiłem.

Było w nim tylko jedno zdanie:

„Ufaj, kiedyś będziemy razem.”

Wyszedłem oszołomiony na klatkę schodową było to czwarte piętro. Otworzyłem okno klęknąłem na parapecie, przechyliłem się niebezpiecznie i wtedy dotknął mego ramienia anioł i usłyszałem cichy szept za plecami „Samobójcy nie idą do nieba.” To było moje spotkanie ze śmiercią nr 2.

I ogarnął mnie strach, ale nie przed nią, bo śmierć miałem za nic, gdyż moje serce umarło wraz z Gosieńką. Lecz groza przed nie znanym co czeka każdego, który przekracza bramę do wieczności.

Potem błąkałem się bez celu po mieście i ujrzałem się w jakieś wystawowej szybie, choć miałem dwadzieścia jeden lat byłem siwy jak gołąbek.

Rozdział 8.

Ożeniłem się z Magdą. Na ślub nie zaprosiłem nikogo. W interesach stałem się twardy. Rzuciłem się w wir pracy. Prawdę mówiąc było mi wszystko jedno co się ze mną stanie, pocieszała mnie tylko myśl o rejsie. Godzinami liczyłem, projektowałem, zdobywałem klientów spoza kościoła katolickiego, wyremontowałem i wykafelkowałem piwnicę. Sprzedałem „Nasha”. Dziwna rzecz kiedy spojrzałem na jakiś przedmiot pojawiało mi się w umyśle angielskie brzmienie i znaczenie słowa choć wcześniej go nie znałem. Czasami się modliłem, głównie o ukończenie pracy i napływały do mnie angielskie słowa modlitw głębszych i mądrzejszych niż ja sam kiedykolwiek byłem. Magda już po ślubie mnie nie chciała. Mówiąc przenośnią łożo moje było zimne. Sypiałem sam. Magdę rzadko udało mi się zaciągnąć do łóżka, przy czym jej poświęcenie sprowadzało się do tego, że nie rozbierając się mówiła „Tylko szybko” po czym leżała sztywna żując gumę. Zaszczyt ten spotkał mnie pięć razy w całym naszym małżeństwie. Mimo to urodziła nam się córka. Uważała się za osobę praktyczną, gdyż umiała chodzić całe dni po sklepach, kupować ciuchy i buty o 10 złotych taniej, a miała ich siedemdziesiąt dziewięć par. Z kosmetykami była równie zaradna, te kupowała zawsze dobrych firm (jak wiadomo tanie wywołują zmarszczki) i miała ich pięćdziesiąt sześć różnych. Uważała, że jeden pierścionek przynosi pecha i dlatego kupiła ich sobie siedem. Jako osoba rozsądna pierwszego dnia po ślubie stwierdziła, że gotowanie w domu jest za drogie i od tego dnia jadałem w restauracjach. Wy tłumaczyła mi, że obrus w stołowym jest nie praktyczny i zamieniła go na ceratę.

W kryształach po babci trzymała śledzie i uważała, że były bardzo nie na czasie, bo tak łatwo się potłukły. Zresztą przecież sam mogłem je umyć, gdyż ona pracuje. A dobry mąż powinien żonie gotować. Moi rodzice uważali że jest bardzo pracowita, ponieważ pracuje w nadgodziny, a pomorskie serce mojego ojca cieszyło się, gdyż wyciągała odkurzacz ilekroć nas wizytowali. Jako osoba mądra dzięki telewizji, którą oglądała osiem godzin dziennie stwierdziła że sukcesy w pracy zawodowej osiąga się dzięki donoszeniu do swojej szefowej na koleżanki, a następnie donoszeniu na kierowniczkę do dyrektora, zaś na dyrektora do ministerstwa. Moi rodzice podarowali nam samochód, opel 2 litrowy w dobrym stanie. Ja podarowałem go jej. Zapisła się na kurs prawo jazdy. Poszła na pierwszą lekcję prowadzenia samochodu z instruktorem, wróciła wzburzona.

- Co się stało pytam?
- Powiedział mi, że mam za ciężką nogę.
- No i?

– Powiedziałam mu, że jest cham i burak, bo nogi mam świetne. Samochód oddam na złom.

– Nie.

– Nie dam Ci ani grosza na OC.

– Nie wyrzucimy samochodu. Mąż jest głową rodziny.

– Kobiety są mądrzejsze.

– Głupie kobiety burzą własnoręcznie swój dom.

– To ty jesteś głupi.

Spasowałem. Samochód poszedł na złom, a tata musiał zapłacić zaległe OC.

Za intelektualnie wymagające zajęcie uważała studiowanie i porównywanie gazetek reklamowych. Nie czytała niczego poza tym. Jej wydatki opóźniały budowę „Narwala” co mnie trochę smuciło, a Magdę najbardziej interesowało ile będzie wart gdy skończy go budować.

Rozdział 9.

Nie mogłem sam jednocześnie być menadżerem, konstruktorem i handlowcem. Zatrudniłem sekretarkę. Miała na imię Basia i wybrałem ją gdyż biegle i szybko posługiwała się komputerem.

Mówiła do mnie per pobożniś, choć wtedy cała moja pobożność sprowadzała się do sporadycznego czytania Gośkowej biblii oprawionej w czarną skórę. Była mężatką. Pewnego dnia zderzyliśmy się w biurze, upuściła teczkę, rozchyliła nogi a mnie krew uderzyła do głowy. Była cholernie seksi.

Następnego dnia były moje imieniny. Dostałem kwiaty od pracowników, a od niej jedną żółtą żąkile. Zapytała – Czy wiesz co oznaczają kolory kwiatów? A ja patrzyłem na jej piersi bo pod bluzką nie miała stanika. Wyjechaliśmy na delegację do Rosenheim to w górach Hartzu do najlepszej firmy na świecie produkującej anteny. Zabrałem ją gdyż nalegała, podobno w ogóle nie widziała europy. Zatrzymaliśmy się po drodze w motelu. Wieczorem zapukała w koszuli nocnej przezroczystej jak firana, bo zaciął jej się zamek do drzwi. Mówię do niej, że to banalne – szef sekretarka – i patrzę na jej biodra nie mogąc od jej oczywistej nagości oderwać oczu.

Popatrzyła na mnie, niewinnymi oczami spod śmiałego makijażu, złożyła ręce jak do modlitwy szepnęła – Pobożniś – i złączenie swoich dłoni polizała językiem. Pomyślałem: „Co ma być niech będzie” i rzuciłem ją na motelowe łóżko. Całując mnie namiętnie oplótła mnie nogami i wtedy w głębi mych oczu ujrzałem Gosię jak rozdiera na sobie białą koszulkę, pada na kolana trzymając się za serce a na piersiach ma dziwny szkaplerz. Szepnąłem w głowie „duchu z zaświatów, wróć do pokoju swego”. Usłyszałem w odpowiedzi – Zapłacisz! –

Opanowałem się i wróciliśmy z Basią do tego co zaczęliśmy, a w uszach jako kolczyki miała powieszzone odwrócone krzyżyki. Smakowała jak opium. Nad ranem powiedziała znacząco – chciała bym mieć dobry sprzęt Hi-Fi... Ile tutaj taki kosztuje?

Minęły trzy dni. W firmie jak zawsze ruch. Przyjmowałem petentów. Pojawił się pan J. Dyrektor handlowy jednej ze znanych mi rozgłośni. Usiadł, zażyczył sobie kawę, położył nogi w butach na ławę. Powoli wyłuszczał, że z reklamy w rozgłośni nie daje się żyć.

- Jak mogę Panu pomóc?
- Wie pan mam znajomości – tu zaciągnął się papierosem
- Każdy jakieś ma.
- Na przykład znam pana sekretarkę, to moja daleka rodzina.
- Niestety nasza firma nie reklamuje się w radio – powiedziałem ostrożnie.
- Zawsze mi się zwierza. – Powiedział patrząc na mnie chytrze.

- Niektóre kobiety nie umieją trzymać języka za zębami.
- Znam też jej męża.
- Pomyślę o możliwości reklamowania się w waszym radio.
- Znam też księdza Tadeusza.
- Czego Pan chce?
- Pięć tysięcy dolarów – powiedział bez ogródek
- Idź Pan do diabła.
- Jesteś skończony. – wycedził wychodząc, rzucając peta na podłogę.

Minęło kilka dni. Miałem złe sny. Zacząłem słuchać Szostakowicza i Debussy.

Nie spałem nocami, a muzyka im bardziej ponura wydawała mi się lepsza. Pojechałem wybadać sprawę w Dziegłówkę. Ks. Tadeusz chodził zaferowany pomiędzy swoimi zagonami kapusty i bakłazanów. Musiałem zdobyć kolejne zlecenie.

- Przepraszam, że z poprzednim nadajnikiem się spóźniliśmy.
- Doniesiono mi, że wasze nadajniki nie mają nawet połowy nominalnej mocy.
- To nie prawda.

– Proces homologacyjny się opóźnia, nie wiadomo czy w ogóle będą miały homologacje.

- I zawsze się spóźniacie, coś tam kręcicie w tej firmie...

– Kiedy następny nadajnik potrzebny?

- Teraz ksiądz Rydyk buduje sto rozgłośni, wolę się zająć ochroną życia poczętego.

– Dobrze by było w radio.

– Nie, wesprę inicjatywę legislacyjną, może przejdzie ustawa o nielegalności aborcji.

- A rozpoczęte nadajniki?

– Weź sobie ciężarówkę, którą wożę książki z drukarni. Ma nowy silnik leylanda.

Wróciłem ciężarówką bez zlecenia. Zapakowałem rozpoczęte nadajniki. Zapakowałem złote sztuce od Wałęsy zawiozłem do ks. Tadeuszowi do Pawłówka.

- To zamyka nasze interesy – powiedziałem wyładowując nadajniki.

Dziewczyna która sprzątała księdzu powiedziała mi, że się jej śniłem. Szedłem po wąskiej linie w górę, pomiędzy blokiem a wieżowcem. Ksiądz właśnie wybierał się w trasę w poszukiwaniu funduszy. Jak zawsze do swojego stareńkiego merca zapakował łopatę, bo miał w zwyczaju zagrzebywać, rozjechane psy i koty na poboczach dróg. Pożegnałem Tadeusza, stał wysoki mimo 80 lat i twardy jak partyzant. Takim go zapamiętałem, gdy życzył mi „Szczęść Boże” na resztę życia.

Nie spałem dobrze. Śniła mi się kosa mijająca mą głowę o centymetr. Zostałem w firmie do 18-tej a dzwony pobliskiego kościoła dzwoniły na „Anioł pański”. Byłem sam. Zawarczał motocykl i zazgrzytało. Wyjrzałem przez okno zobaczyłem faceta w czarnej kurtce, jak nie dbając o wywrócony motor wbiega na schody naszej firmy. „A tego co ugryzło” pomyślałem, gdy stanął szybciej niż się spodziewałem w drzwiach

mojego biura.

– Basia jest moją żoną. – powiedział twardo, potem wyjął za kurtki pistolet – małą berettę. Patrzyłem na otwór lufy, pistolet był mały i strasznie niebezpieczny. Patrzyłem jak waży decyzję. Zdecydował się zabić. Wtedy szepnąłem w duchu „Ojcze” i chciałem odejść z obrazem Gosi w oczach, lecz nie mogłem przywołać jej wizerunku. Opuścił pistolet.

– Nie pójdeś siedzieć do mamra za świnię – powiedział.

Wyszedł z firmy cicho, zamknął drzwi. Tak zostałem świnią.

To było moje spotkanie z śmiercią nr 3.

Nie miałem siły już dłużej tak ciężko pracować. Chodziłem wszędzie tam, gdzie bywałem z Gosieńką. A smutek napełniał mnie narastającą goryczą. Patrzyłem na szybowce i żaglówki bez radości, jedynie wspomnienia naszych wspólnych chwil, odpędzały mrok od mego serca. Nad Wisłą, gdzie trzymała mnie za rękę przywoływałem w wspomnieniach jej turkusowe oczy, piłem kefir, które lubiła, pod wierzbą, gdzie ją pierwszy raz całowałem wspominałem wszystkie jej słowa. Nie wiedziałem dlaczego były takie ważne.

Firmą zajmowałem się z obowiązku. Interesy nie szły dobrze. Próbowaliśmy sprzedawać nadajniki poza kościołem, lecz czasy się zmieniły i teraz klienci mieli duży wybór firm to jest tzw. konkurencja, a my byliśmy małą firmą, która z gigantami nie mogła konkurować. Nieskończony „Narwal” stał w ogrodzie, a ja bez pieniędzy na skutnika, żagle i silnik, męczyłem się wdychając opary wybuchowego styrenu wstawiając grodzie.

Od pracy na kolanach w jachcie zaczął boleć mnie kręgosłup i już nie przestał. Próbuąc znaleźć alternatywę dla firmy, zaprojektowaliśmy mikrofony bezprzewodowe wielkości breloczka na klucze. Zbyt był lichy. Niebyły właściwe dla muzyków, a za duże jak na urządzenie podsłuchowe. Tak minął kolejny rok. Chorowałem coraz częściej na różne niewyjaśnione dolegliwości.

Ostatkiem sił zaprojektowałem radio-alarm samochodowy. Sprzedaliśmy z trudem 18 sztuk. Mimo, że na rynku innych nie było. Była to nowość, która się nie przyjęła. Jednym z ostatnich pomysłów uratowania firmy było zdobycie przedstawicielstwa na Polskę, znanej włoskiej firmy też produkującej sprzęt nadawczy dla radiofonii. Zapakowałem mapy wsiadłem w mojego forda i pojechałem do Bolonii, a kręgosłup zamieniał tę podróż w udrękę. Prawie po drodze była Wenecja. Chodziłem po placu Św. Marka zajrzałem do katedry, i na suficie ujrzałem mozaikę – twarz Chrystusa i wtedy zadrzałem, bowiem plama mej winy była przede mną i widziałem Gosiowe turkusowe oczy miast chrystusowych i wspominałem jak leżała na pielgrzymce w trawie trzymając się za serce. Wspominałem jak mówiła ten proroczy wiersz, a ja nie wiedziałem co to jest prekognicja.

Zrobiłem w firmie bilans roczny. Minus dwadzieścia tysięcy złotych. Firma padła.

Kręgosłup bolał mnie coraz bardziej. Zacząłem całymi dniami czytać biblię szukając pomocy.

Przeważnie spędzałem dni na leżaku na werandzie. Postanowiłem ściśle pościć, bo wiedziałem że to usilny sposób proszenia Boga. Modliłem się o zdrowie wielokrotnie w ciągu dnia i nocy.

Po pięciu dniach postu Magda orzekła, mówiąc do córki – Tatuś zwariował –

Zadzwoiła po pogotowie i po policję a ta zakuwszy moje nogi ręce w kajdanki odwiozła mnie do szpitala dla nerwowo chorych. Tam zapytali mnie czy byłem już kiedyś w szpitalu, odparłem, że tak wydestawiałem się z komunistycznego wojska.

– Aha! – stwierdziła pani lekarz

– Na co?

– Osobowość schizofreniczna

– Aaa stwierdziła – wszystko jasne i w kartę choroby wpisała schizofrenia. Dopisała „nie przyjmuje pokarmów.”

– No to posiedzi Pan sobie u nas..

– Mam dobrych prawników – ostrzegłem.

Niemalże się ucieszyła i dopisała w karcie choroby „Agresja słowna.”

Zapisała mi maksymalną dawkę solianu, lekarstwo to tak mnie uleczyło, że ze szpitala po trzech tygodniach wyszedłem z chorobą Parkinsona.

Magda się wyprowadziła. Oczywiście jak to osoba praktyczna z resztą oszczędności i moją wypłatą.

Dziecko na pożegnanie powiedziało mi, że woli innego tatusia który nie jest świrem.

Nie miałem co jeść. Przez dwadzieścia osiem dni do jedzenia miałem tylko wodę z oliwą.

Na rękach i czole pojawiły mi się stygmaty. Magda sprzedała „Narwala” był zapisany na nią.

Wkrótce nie miałem na opłaty jedzenie, rachunki za dom. Magda uprzejmie mi wyjaśniła, że siedzący po więzieniach ojcowie nie łożący na dzieci nazywają się alimenciarzami. – Wykończę Cię w sądzie! – wrzasnęła gdy zabierała meble.

Do sądu nie poszedłem. Rodzice wynajęli prawnika. Dostałem też rentę, najniższą ustawową.

Ojciec zatroskany stwierdził że skoro zostałem inwalidą i plajciarzem to on załatwi mi pracę w spółdzielni inwalidów gdzie jego znajomy mgr. L jest prezesem.

Próbowałem różnych prac. Byłem konstruktorem, network super visorem, elektronikiem, informatykiem, automatykiem, na koniec zwykłym elektrykiem. Nigdzie nie zagrzałem miejsca dłużej niż miesiąc. Moi pracodawcy musieli wypełniać dokumenty do zakładu ubezpieczeń społecznych, a dla osób na rencie jest specjalny druk w który należy wpisać kategorię renty, renty z powodu schizofrenii...

Wyjaśniły się też nadgodziny Magdy.

Te pracowicie spędzała w łóżku z mężem swojej najbliższej przyjaciółki.

Pomyślałem: „Boże, a ja wszedłem, na kolanach na przeprosną górkę by prosić Cię o dobrą żonę.”

Została mi biblia. Modliłem się o śmierć. Śnił mi się kościółek, który kiedyś już gdzieś widziałem.

Pewnej nocy przyszła do mnie śmierć. W pokoju zrobiło się zimno ciemno.

– Jestem śmierć – powiedziała obojętnie. I była obojętna tak jak tylko może być śmierć.

– Przyszłam Cię zabrać. – udzieliła mi się, jej obojętność, nie było w niej żadnego ludzkiego uczucia.

– Mam to w dupie – powiedziałem gdyż faktycznie miałem to w dupie

– Dawno już umarłem wraz z Gosieńką.

I wtedy usłyszałem jej głos jak powiedziała do śmierci

– Mój ci on jest! – Śmierć się zdziwiła i powiedziała

– To przyjdę po Ciebie za 38 lat.

To było moje spotkanie ze śmiercią nr 4.

Rozdział 10.

Mijał czas czytałem biblię, wybaczyłem Magdzie. Usłyszałem wtedy za plecami

– Teraz latasz wysoko.

Zadzwoiłem do Artura z prośbą o przysługę. Prosiłem o pracę. Miał gabinet w jednej z amerykańskich firm w Bydgoszczy. Był dyrektorem ds. logistyki. Trafiłem akurat na moment gdy fotografował się na pożegnanie z żoną, podlegało mu sto dwadzieścia osób. Udawał się do Stanów. Pracę dostałem inżynierską.

– Mam do Ciebie jeszcze jedną prośbę, powiedz mi gdzie jest grób Gosi?

– Jaki grób? Zdziwił się niezmiernie.

– Gosia poszła do klasztoru. – Zamarłem, a serce podeszło mi do gardła.

– Powiedzieli mi, że nie żyje.

– Żebyś się odczepił. Przez Ciebie była na serce trzy miesiące w szpitalu i poszła do klasztoru.

Miałeś ją w ręku. Nie widziałem większej miłości niż jej do ciebie. Ale ty myślałeś tylko o sobie.

– W jakim jest klasztorze?

– Była w Chełmnie pięć lat. Opiekowała się tymi biednymi kalekami. Jej siostra mówiła, że nie mogła znieść gdy te dzieci umierały.

– Gdzie mieszka?

– Nie wiem, zresztą jej rodzina zabiła by cię za to coś jej zrobił.

Po namyśle dodał

– Idź na Janikowską, tam jest kościół zielonoświątkowy.

Moje serce ożyło i znów poczułem, że żyję.

Znalazłem plan miasta. To była ulica trzysta metrów od mojego domu. Pojechałem natychmiast. Był to ten kościółek, który śnił mi się nocami. Furtka była zamknięta, napis głosił: „nabożeństwa w niedzielę o 10 rano i w środę o 18: 30”. Przez trzy dni nie mogłem doczekać się niedzieli.

Śmiałem się wspominając jak męczyłem się z firmą i „Narwalem” i nie musiałem już płynąć, byle bym mógł ją tylko zobaczyć. Moją radość mąciła tylko troska o to czy jest zdrowa.

Z soboty na niedzielę nie spałem, ogoliłem się rano dwa razy, zęby szorowałem trzydzieści minut.

Byłem w kościele godzinę wcześniej niż zaczynało się nabożeństwo. Była próba zespołu muzycznego. Dynamicznie grał niezłe jazzując młody chłopak „Cudowną miłość”. Byłem pełen niepokoju: „Czy ktoś ją zna? czy tu przyjdzie?” Nosiło mnie po kościele. W końcu stanąłem przy drzwiach wejściowych. W oczy wpadała mi tablica

ogłoszeń. A na niej stało „Mamy zaszczyt zaprosić na ślub Małgorzaty tu nazwisko mojej Gosi z Andrzejem tu nazwisko, który odbędzie się w niedzielę o godzinie 13:00. Krew odbiegła mi z twarzy próbowałem wyjść na świeże powietrze i wtedy ją zobaczyłem. Szła z parkingu pod rękę z wysokim gierojem, ugięły się pode mną nogi i zemdlałem. Ktoś mnie cucił i usłyszałem zatroskany głos pastora „Jakiś chorowity..”

– Nic mi nie jest powiedziałem.

– Wezwać lekarza?

– Nie trzeba już dobrze – powiedziałem wstając

– To pomodlimy się o Ciebie. Mamy jeszcze 10 minut do nabożeństwa.

Zabrali mnie do kaplicy. Stanęli dookoła mnie. I rozpoczęła się modlitwa. Ale dla mnie ważna była tylko ona. Gosia podniosła prawą rękę jak do przysięgi, jej palce były złożone jak na obrazach Chrystusa. Zaczęła się modlić w językach, „Ha nocri, El Ruah”. I wtedy przypomniały mi się jej pierwsze słowa do mnie:

– Będę musiała zejść do Ciebie-

Oślepiający blask przeszył moje oczy. Ręka w białej szacie przeniknęła na wskroś przez moją klatkę piersiową. Zniknął nagle ból kręgosłupa i usłyszałem:

– Oto Ci daję nowe serce –

Wtedy UWIERZYŁEM.

Zniknęła kaplica. Gwiazdy pod moimi stopami oddalały się jak zdmuchnięte. I byłem tam gdzie mój wieczny niebański dom. A JEGO głos rzekł.

– Paś owieczki moje

Zerwane zostały więzy me ciało było lekkie. Ze szczęścia płakałem i wszystkie wersety biblii były dla mnie jasne. Tak w szczęściu chodziłem tydzień, lecz coraz jaśniej docierało do mnie, że Gośka wychodzi za mąż. I wtedy prosiłem w modlitwie „Boże pomóż”. Usłyszałem w głowie: „Stowarzyszenie umarłych poetów”. Następnego dnia napisałem mój pierwszy wiersz.

W ciągu trzech dni napisałem czternaście wierszy dla Gosi. Czy będzie ze mną, czy nie będzie, nawet jeśli wyjdzie za Andrzeja zostaną zawsze jej. Niech tylko będzie szczęśliwa. I wiedziałem, że teraz kocham ją prawdziwie, kocham na sto śmierci. W niedzielę pogodzony ze swym losem poszedłem na nabożeństwo i kiedy przechodziła z Andrzejem w drzwiach dałem jej swoje wiersze. Czytała je całe nabożeństwo. Przyjezdny pastor Adam Socha zamiast wygłosić kazanie. Przeczytał „Pieśń nad pieśniami” to hymn o miłości. Czytałem go poprzedniej nocy i kochałem Gosię miłością czystą i bezwarunkową. Pieśń Salomona kończy się słowami:

BO MIŁOŚĆ JEST MOCNA JAK ŚMIERĆ.

Po nabożeństwie widziałem jak na parkingu trzymał ją Andrzej za rękaw, tłumaczyła się, wtedy powiedział coś gniewnie i wsiadł do samochodu, trzasnął drzwiami.

Podeszła do mnie, czekała.

– Z Andrzejem to nieodwołalne? – zapytałem.

Milczała potem powiedziała z wahaniem

– Nie, z rozsądku, kwiaty kwitną tak krótko.

Przypomniałem wtedy jej własne słowa:

– Mam coś dla ciebie – nic tylko siebie.

– Zrobiło jej się duszno.

Popatrzyła w niebo i zaczęła się modlić, wiedziałem z kim rozmawia.

Uśmiechnęła się do mnie i niepewnie wzięła mnie pod rękę.

– Powinnaś wiedzieć, że mam też schizofrenię.

– Nic to – powiedziała, lecz wzięła rękę. Teraz zaczęła się modlić językami.

– Będę płakała...

– Będzie dobrze – zacytowałem jej obietnicę.

– Wahala się

– Chryste – wyszeptałem

Z miłością ujęła moją twarz i szepnęła:

Nigdy nie przestałam Cię kochać.

– Gdzie ty Kajus tam ja Kaja-

Odpowiedziałem:

– Gdzie ty Kaju tam ja Kajus-

Przechodzący pastor powiedział półgłosem:

No to zrobimy ceremonium.

Do ślubu bardzo nam się spieszyło.

– Nie stać mnie nawet na zaręczynowy pierścionek – wyznałem. Za stanika wyciągnęła łańcuszek, a na nim pierścionek, który wyrzuciłem przed laty.

– Dzieci się śmiały, gdy chodziłam na czterech szukając go w fontannie.

Ukrywałam go pod habitem, nowicjuszki w klasztorze.

Opowiadała jak nie mogła, zaakceptować tego co działo się w Chełmnie, była coraz bardziej chora.

Wyzdrowiała po wielu modlitwach i namaszczeniu olejem na Janikowskiej w Betelu.

Zawodowo była specem od rehabilitacji po porażeniowej.

Wysłałem ją na EKG. Serce ma Pani jak dzwon stwierdził kardiolog po dokładnym badaniu.

Na ślub zaprosiliśmy ze czterdzieści osób. Denerwowałem się. Sięgnąłem po Biblię. Wypadła zakładka-ostatni list Gosi i przeczytałem „Ufaj, kiedyś będziemy razem.”

I wtedy się rozplakałem, rozplakała się Gosia, rozplakały się nasze mamy i nasze sakramentalne „Tak” powiedzieliśmy wśród łez, a Gosi cudnie biała suknia, kontrastowała z jej szmaragdowymi oczami i pasowała do białych frezji, zaś grupa uwielbiająca grała i śpiewała:

„Z dwóch serc o Panie jedno stwórz”.

Wesele było w ogrodzie. Zanosiło się na deszcz, niskie stratusy przysłoniły niebo. Gosia się zasmuciła.

– Nie może padać.

– Nie będzie – powiedziałem i wzniosłem oczy do nieba westchnąłem „Ojcze.”

I zerwał się wiatr, szybko rozganiając chmury.

– Pamiętasz prywatny wiatr gdy pływaliśmy „Nashem”? – Zapytała.

– Teraz i Ty robisz cuda.

– Pamiętasz angielski?

– To też byłaś Ty?

– Nauczyłam się dla Ciebie.

Głos w mojej głowie.

– Po nią właśnie wszedłeś na przeprośną górkę.

W noc poślubną odkryłem że, była nadal dziewicą jak zamknięta książka. Postanowiłem czytać ją nieustannie, rzekł bym do bólu.

– To może mieć dziewięć-miesięczne konsekwencje – powiedziała czytając mi w myślach.

– Kocham dzieci.

– A jacht? – zapytała cicho.

– Wyczarterujemy na mazurach.

Powiedziała:

– Musi mieć dużą dinetkę.

– Mąż jest głową rodziny, popłyniemy w życiu gdzie tylko zechcesz.

– Kapitan to funkcja usługowa – odpowiedziałem błogosławiąc Boga.

– Z zapalem czytałem tę książkę przez wiele dni rzekłbym namiętnie, od początku do końca, ochoczo i wytrwale.

Gosia musiała wziąć trzydzieści dni urlopu.

Właśnie przyszli rodzice. Czytali mi przez ramię co piszę.

Ojciec – Pisz po ludzku!

– Że kochaliśmy się dni całe na łóżku, pod łóżkiem a nawet na schodach? – zapytałem.

Gosia z kuchni:

– Mówi się usługiwali sobie wzajemnie.

Mama obrażona – Jak możesz tak pisać o własnej żonie?

– Że taka z krwi i ciała?

– Gośka dobrze napisałem o miłości? – Zawołałem do kuchni,

– Super kapitanie! Bałam się, że po tym usługiwaniu będziesz wymagał rehabilitacji.

– Kochanie, nie musisz dziś robić obiadu z dwóch dań, rodzice przywieźli wałówkę

–
zmieniłem temat.

Rozdział 11.

Czasem tylko jeżdżę egzorcyzmować. I tu wracamy do początku tej historii. Okazało się że wezwany zostałem do Pana J. Dyr. handlowego pewnej rozgłośni – specjalisty od szantażu.

– To Pan – stwierdził J. w drzwiach zaskoczony, stojąc o kulach.

Gosia w mej głowie śpiewa „Kocham jak to łatwo powiedzieć...”

– Przebaczyłem. – mówię

– Czy mogę wejść? – zapytałem, pokuśtykał do pokoju.

Na stole puszka piwa, popielniczka, trzy kupony totolotka..

– Mam straszne myśli i ciągle się boję..

– Jak do tego doszło?

– Po pijanemu sprzedałem duszę diabłu.

– Za co?

– Za samochód.

– Jak to się stało i pokazuję na jego nogi.

Postukał kulą o nogę powiedział

– Wypadek. Tym właśnie samochodem.

– Jak to się stało, że się nawróciłeś? – Pyta Pan J.

– Nie chciałem już dłużej być świnią.

Cyrograf da się podrzeć. Wystarczy, że będziemy się modlili.

I modliliśmy się, wyrzuciłem z niego demona chciwości, rozwiązłości ale alkoholizmowi nie od razu dałem radę, rzucił się na mnie i przyczepił jak rzep.

– Ile się należy? Zapytał Pan J. gdy wychodziłem.

– Darmo otrzymałem, darmo daję – i wyszedłem z jego domu z przyklejonym grzechem pijaństwa.

Demon czyli grzech – Idź pić!

– Nie piję

– Piwo?

– Nie.

– Whisky?

– Precz.

– Wino?

– Nie piję.

– Pijesz mszalne.

– Demonie, raz w miesiącu 10 mililitrów na pamiętce wieczery, zagadywałem go czekając na jego pychę.

– Będziesz pił – powiedział pewny siebie.

Wtedy go zgromiłem. Błysnąłem mieczem słowa rymowanego (bardzo tego nie lubią)

– Przykrywam się świętą JEZUSA krwią, pijaństwo won! Bo będzie twój zgon.
(boją się mocy chrystusowej krwi)

Demon niepewnie:

– Jeszcze się spotkamy.

– Tak pod Armagedonem, tam pošlę Cię w ogień – odpowiedziałem, znużony usiadłem na parkowej ławce.

– Kapłanie przebacz, nie pošyłaj w ogień – poprosił.

– Dobra wynocha, w pingwiny włącz! Wysyłam do ziemi królowej Maud!

– W imieniu Pana Jezusa! I to był drugi błysk miecza. Skutecznie ciąłem imieniem Pana przez łeb.

(bowiem nie mnie się bał, a Chrystusa.)

Musiał iść w pingwiny.

Auto-egzorcyzm skończony. Poszło łatwo bowiem od czasu gdy zostałem chrześcijaninem nie wypilem ani jednego piwa, drinka, koniaku etc. Mam nadzieję, że niewiele pingwinów zdechło.

Zresztą to szkodniki, pocieszałem się w duchu.

Rozdział 12.

Za Gosiowe oszczędności kupiliśmy meble. Na stole w stołowym położyła własnoręcznie haftowany obrus. Rodzice nas dofinansowali tak, że nie muszę pracować i studiuje indywidualnie teologię. Usługujemy sobie wzajemnie można rzecz niezmordowanie i czytamy biblię. Szczególnie lubimy te wersety, cytuję za „Nową biblią Gdańską”

Gosia:

2:5 Jego lewica spoczywa pod moją głową, zaś jego prawica mnie pieści.

3:5 Zaklinam was, o córy jerozolimskie, na sarny i polne łanie nie pobudzajcież miłości aż do rozkoszy.

Jacek:

4:10 O jak słodkie są twoje pieszczoty, moja siostrzyczko narzeczona. Twe pieszczoty są daleko rozkoszniejsze od wina, a woń twoich pachnideł niż wszystkie aromaty.

Dziś Gosia mi powiedziała, że muszę wytapetować pokój dziecinny. Właśnie się zastanawiam co chciała przez to powiedzieć?

Co do Magdy mieszka teraz w baraku, sama. Ma trzy telewizory i nie awansowała w pracy.

Okazało się że jej matura była podrobiona. Córce zdołałem przemyścić książkę „Mały Książę” i DVD z filmami „Opowieści z Narni”, zobaczymy co z niej wyrośnie...

Do Gochy I.

Ile modlitw mych przyniosę
Niezrównany, Ciebie proszę
o Jej cudny uśmiech mi drogi
serce swoje rzucę jej pod nogi.

Gdy szepcze dziękczynienia
we mnie wzbiera słowo pienia.
Patrzę w niebo nad sklepieniem,
jakiż to cud zstąpił na tę ziemię.

Nie dla mnie warg jej słodycz,
musiał bym się znów narodzić.
Nie dla mnie spocząć na jej piersi,
zostało mi tylko być rycerzem błędnym.

Kiedy przeświète śpiewa sakrany,
anioł szepcze allachany,
a ja wzniesiony skrzydłami miłosiernymi,
nie mogę się nadziwić, pośród sprawiedliwymi.

Gosieńka moja miła chrześcijanina
z nieba deszcz pada gdy właściwa godzina,
łez moich struga, samotne wieczory
W snach Twoich pokonam wszystkie potwory.

Herbu Gryfon, jestem twym obrońcą,
Na wpół lew i orzeł przyjmij, miłość mą gorącą.
Gdym się narodził kometa stała na niebie,
chrześcijanino Gochino kocham Ciebie.

Umarłem dla świata gdy
miałem trzydzieści trzy lata.
Dziś już żadna krzywda mnie nie dotyka
na uwielbieniu tylko Cię spotykam.
Będę walczył o Ciebie oblubienico
najcudniejsze Twoje Lico.

Będę walczył o Ciebie mój kościele
Gosia spotkajmy się w niedzielę.

Do rycerza I.

Kidy dziecko ręką drogą
błogosławi mnie ubogą,
kiedy słońce pulsuje w mojej skroni,
czy przed diabłem mnie obronisz?

Czy starczy twych modlitw kochany,
czy pomogą allachany?
Jestem w kręgu zaklęć nieśmiertelnych,
czy zwyciężysz rycerzu błędny?

Musisz zniszczyć zło niesłychane
nie wystarczy: Tak Panie i Amen.
Musisz przekuć miecz swych słów
by nawracać z błędnych dróg.

Do Gochy II.

Doskonałość nad doskonałościami
Chryste coś zmarł i zbawił.
Eli love – jestem proch!
Cóż Gosieńce mojej dam
Czy amo – to mało?

Oto stoję przed pytaniem,
czy czynić słowem prawo?
Miecz wyostrzony niemało
w pierś okrutnika wrażę,
każde Boże przykazanie.

Dura lex sed lex i widzę,
że kot rzymianina w plecy Chrystusowe się wżyna.
Razy 39 i potem, śmierć na pięć!
Zgodnie z prawem krzyżowa śmierć.

Gochino! Wolę złoty krzyżyk między Twymi pierściami
całować i wdychać twój zapach waniliowy całym dniami.
Wolę Ci czytać Pieśń nad Pieśniami,
zachwycony błogosławioną, obejmę Cię w Tali.

Czyż okrutnika nie nazwiemy człowiekiem?
Czy Bóg wyleje łaski rzekę?
Niech i drań dotknie nieba,
Tylko tego ludziom trzeba do zbawienia.

Gosiu! Do potu krwawego,
będę błagał na całego,
Boga Świętego
i dlatego uczę Cię zaklęcia „krzyż na tę myśl”
że Adonai nie uwolni Cię dziś.

Muchy sio, jestem H₂O!
Złe won! Diabła naszedł zgon!
A kysz, a kysz i złe przegrało

przez krzyż.

Gocha do rycerza II.

Jednak prawo to mało
czy łaska omija miliony?
Założ sandały rycerzu,
ruszaj w dalekie strony.

Tam gdzie dzieci mają
rączki pourywana granatami,
tam głos Świętą sakranę,
błogosławię cię na drogę,
Amen.

Zali potrafisz przewracać reżimy,
rycerzu miły?
Czy ewangelia znajdzie serce złote?
Czy dobrą wykonasz robotę?

Musisz stal swych słów
skierować tam gdzie zły duch!
Gdzie piją od rana – whisky za ćwierć dolara.
A potem gwałcą dzieci w mroku,
przykładając bagnet do oczu!

Do Gochy III.

Miła! Mnie szkoła zawodowa „kształciła”.
Po lekcjach butami, neonazi „uczylili”
mówiąc prosto, za pacyfizm bili.

To tu produkuje się kałachy i granaty
poszukując woli Ojca Taty,
chciałbym te serca z kamienia
w miłosierne zmieniać.

Krzyczałem kiedyś w bunie przeciw Świętemu:
„Gdzie byłeś? Gdy się ścieliły z krematoriów dymy?”
Bóg jest jak żrący ług, kara czasem całe narody
nieodgadnione Jego drogi, niespodziewane godziny.

Na gada ruszyłem kiedy się ochrzciłem,
lat niemało ewangelię głosiłem,
modlitwą, postem się trudiłem
nikogo nie zbawiłem.

Serca urodzonych w polskim kraju
ani jedno nie chciało raję.
Myśleli że ja sobie baję, baję...
I krzyż, budził przerażenie też.

Do rycerza III.

Rycerzu mój kochany, jakże Ci wierzyć
czy z łzami mam Ci się zwierzyć?
Bo powiadali, żeś w świecie bywały:
Włochy zwiedziłeś, w Paryżu wino piłeś.

A może i Ty się napił wody z brudnej beczki?
Może w Twych ramionach omdlewały dziewczeczki?
I jak mawiał Mika Waltari, może Ty u innej serce zostawił
wraz z gaciami?

A może Tyś niestały, i za lat dziesięć w zborze
Powiesz do mnie: „Ty potworze”?
Czy na pewno nie sprzedasz się za świat cały,
albo za inny złudnym udasz się celem?

Miły spotkajmy się w niedzielę.

Do Gochy IV.

Któreśdy słowa mają płynąć szczerze,
jeśli nie przez pyszne usta Twe aniele.
Dziś semper fidelis mym zawołaniem
Niech tak się stanie, Chryste Panie!

Już ruszam na smoka,
taka to rycerska robota.
Jak słowem niedoskonałym
uwielbić Tego, który wiecznotrwały?

Jak w słowach prostych
jak moje serce,
uwielbić dobrego Stwórcy ręce?

Proszę obudź mnie,
jak gdyby to było rano,
całując me oczy
i daj mi Twą dłoń
ukochaną białą,
a będę niczym dąb wysoki.

Tobie być w koronek bieli
ze złotych pucharów wino pić co niedzieli.
W Twych piersiach płonie ogień nadziei,
iż ten padół w niebo się dla nas zmieni.

Bo widzisz żadna mnie jak ty nie chciała,
prawdziwie żadna nie kochała.
Czy słyszysz? Ani jedna nie powiedziała:
„Gdzie Ty Kajuś, tam ja Kaja”.

Do rycerza IV.

Za wierszy podarunek
przysięgam pocałunek.
Tedy Miły idź do prostych,
zanieś tam prawdę i mądrości,

Idź w pałacowe progi
Nie znają pyszni władcy Bożej trwogi.
Posyłam Cię do tych co od telewizji ogłupiali
i do tych co całkiem zniewieściali.

Idź do tych co resztki emerytur wydają
na totolotkowy bajer, w który wierzy frajer.
Idź i do tych, których dzieci butów nie mają,
bo tatuś w agencji dowodzi swej potencji.

Niech Cię poprzedza dobra sława Twego imienia
„Jesz” mówiła do Pana, jego mama.
Chodź z chlebem z nieba,
pić żywą wodę trzeba.

Do Gochy V.

W Twym wnętrzu wodospady.
Ducha potczyste Niagary,
serce Twe przeczyste
nie jest proste to, co oczywiste.

Ach! Brzoskwiniowe wargi Twoje
Na sercu kładę Ci dni moje,
słowo Twe wycisza i koi
Dzięki Tobie dziecko się nie boi.

W oczach Twych bezkresne oddalenia,
ponad nami słowik śpiewa
i w zachwycie dusza ma omdlewa.
Najpiękniejsza – jesteś częścią nieba!

Więc pieśnią uwielbienia
chwałę cudowność Twojego istnienia.
Cichość Twa i pokora źródłem mego zachwycenia.
Raną mego ciała Twe udreki i cierpienia.

Do rycerza V.

Śniesz mi się po nocach Miły pokrwawiony,
śnią mi się: zmije, smoki, gady i potwory.
Widzę jak walczysz natchniony,
gdy zwyciężasz, radują się zbory.

Tylko nie upadnij, wróg czeka na tę chwilę!
Cóż uczynię, komu dam swe ciało,
jeżeli widły przebić Cię zdołają?

Czy jestem dla Ciebie muzą jeno?
Spójrz na krzyża drzewo.
Zawsze marzyłeś nie pojmując miły,
jak wielkiej trzeba do zbawienia siły.

By do ostatniej godziny
niezachwianie trwać rycerzu.
By w zło ostatecznie uderzyć,
musisz w Jezusową miłość najmocniej uwierzyć.

Do Gochy VI

Sen miałem.

Leżąc na stole, co miał rowki w narożach do krwi spływania,
gołymi rękami zadusiłem gada.

Miałem widzenie.

Pośród łąk czekała miłość.
Nie pojmuję Cudna dlaczego Ciebie tam nie było.

Marzyłem tent rozepnę w ogrodzie,
a pod nim wesele, krwi skrzyżowanie.
Tylko że nie rzekłaś: „całuj moje palce”
i tak sam pośród złud sam zostałem.

Wiara ma pewnością, trwaniem, chlebem i oddechem.
Wiem sił mi zabraknie, gdy przyjdą chwile ostatnie.
Dopóki ta chwila trwa, usta mi swe daj.
Bowiem czas na wszystko odmierzony
z miłości do Ciebie jam szalony.

Bydgoszcz 2014